

Na środowej sesji popołudniowej, obserwując przez cztery godziny pracę jednej orkiestry pod różnymi batutami, można było poczuć się jak podczas intergalaktycznej podróży, zatrzymując się na planetach niejako stworzonych przez kolejnych dyrygentów.

Pierwsza z nich, autorstwa Gyouseonga Lee, całościowo spokojna, ułożona i delikatna, choć miejscami o górzystym terenie, tworzona według konkretnego planu lecz bez wyraźnego pomysłu na jego urzeczywistnienie. Podróż po niej była z pewnością przyjemna, lecz zostawiała lekki niedosyt.

Druga, stworzona przez Haorana Li, zachwycała dbałością twórcy tak o detal, jak i o krajobraz. Zbudowana pewnie, na najwyższym poziomie, ale bez przepychu i ze skromnością. Wszystkie uwagi były uzasadnione i miały widoczny, pozytywny wpływ na przedstawiany muzyczny świat. Wizyta w nim ubarwiona była całą paletą emocji, a słuchacz opuszczał go w podziw i jakby zaczarowany.

Trzecia planeta była kreowana z naciskiem na emocje i z zachwytem nad samym tworzywem - muzyką. Odpowiedzialny za nią Mikhail Mering dawał uwagi pełne porównań, wlał w swój świat pełnię swej artystycznej i wrażliwej duszy. Zostawił całą salę na wstrzymanym oddechu i do głębi dotkniętą.

Ostatnia planeta, stworzona przez Joonasa Pitkanena, sprawiała wrażenie jakby szkolnej. Była „podręcznikowa” - wszystko na swoim miejscu. Wynikało z tego poczucie stabilności i bezpieczeństwa, lecz brak wystarczająco ciekawych rozwiązań i odrobiny polotu ujmował wydzwiękowi emocjonalnemu wyrazistego charakteru.

Z sesji wyszłam jednak nie tyle niezachwycona ostatnim występem, ile na pewno pod ogromnym wrażeniem różnorodności stosunku wszystkich dyrygentów do orkiestry, solistów i samej muzyki. Uważam to za niezwykle urzekające, a możliwość obserwowania procesu budowania kolejnych światów, tak od siebie odległych, za bardzo pouczającą i dającą ważną perspektywę - muzyka to emocje, a te każdy odczuwa inaczej.

Julie Lichtenstein